



Kryminał z myszką

78

Grze- za- wiś- ko

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

GRZEŻAWISKO

Kryminał z myszką – Tom 75

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-12-9

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1981, seria „Labirynt”

Rozdział 1

– Więc kto?

Pytanie zawisło w powietrzu i wyraźnie czekało na odpowiedź. Ale trzech mężczyźni, siedzący w pobliżu dyrektorskiego biurka, nie śpieszyli się. Ich skupione twarze wyrażały głęboki namysł. W rzeczywistości myśleli tylko o tym, jak urwać się z narady w to sobotnie popołudnie. Jednakże zwierzchnik od pewnego czasu wymagał, aby dzielili z nim odpowiedzialność za decyzje. Ktoś kiedyś takich jak oni nazwał decydentami.

– Panowie! – zniecierpliwił się dyrektor Zdziński. Był to mężczyzna wysoki, o ciężkiej, zwalistej postaci, głowę z krótko na jeża ostrzyżonymi włosami nosił lekko uniesioną, często przy tym poprawiając zsuwające się okulary w złoconej oprawie. Zdjął z ręki zegarek, położył przed sobą na biurku. – Daję wam cztery minuty, ani sekundy więcej. Czy naprawdę mamy wracać do tej sprawy w poniedziałek?

– Sikorecki – powiedział naczelnik. – Ma duże doświadczenie.

Zdziński pomyślał, skrzywił się.

– Za stary, po pięćdziesiątce.

– Górniak – bąknął radca. – Oblatany, sprytny. Da sobie radę.

– Górniaka zabiera nam Zjednoczenie. Poznali się na nim wcześniej niż my.

– Lisowski? – spytał nieśmiało zastępca naczelnika. Był wiecznym zastępcą, już przy piątym naczelniku, i miał z tego powodu kompleksy.

– On jest jakiś taki... niemrawy. Ja potrzebuję człowieka na poziomie. No, więc? – Dyrektor rozejrzał się po obecnych, jakby teraz dopiero zobaczył swoich „decydentów”.

Nagle radca ożywił się, poruszył w fotelu.

– Mam! – powiedział z zadowoleniem. – Barański.

Zapadła cisza. Naczelnik uniósł w górę brwi, jego zastępca chciał gwizdnąć wymownie, ale się powstrzymał.

– Barański – powtórzył Zdziński wolno, z zastanowieniem.

– Tak. Zdzisław Barański, starszy referent w wydziale organizacyjnym. Młody, ale nie za młody, bo ma trzydzieści sześć. Inteligentny, umie się zachować, ma dobrze w głowie.

– Co skończył?

– Ekonomię. Energiczny, pracowity.

– A jeżeli chodzi o... – Zdziński spojrzał na niego przelotnie, porozumieli się wzrokiem i widać oczy radcy powiedziały to, czego nie chciały lub nie mogły usta, dość że dyrektor uśmiechnął się. – No, tak. Więc Barański? – Popatrzył na tamtych.

– Chyba za młody – mruknął naczelnik. – W ogóle, nie wydaje mi się odpowiedni.

Radca zaczerwienił się, nie lubił opozycji.

– A pan go zna? – rzucił zaczepnie. – Barański od początku jest u mnie. To znaczy – poprawił się szybko – pod moim kierownictwem, chociaż formalnie przydzielono go do organizacyjnego. Mam o Zdzisławie najlepszą opinię.

Dyrektor spojrzał jeszcze na zastępcę naczelnika, ale ten schylił głowę i poprawiał sznurowadło. Nie chciał sobie zrażać bezpośredniego szefa, a tym bardziej dyrektora. Przeczorniej było przeczekać ten moment w pobliżu nogi od krzesła.

– Decydujemy, że Barański zostanie kierownikiem filii w Gniewczycach – powiedział Zdziński. – Kadry... z kadrami załatwię. Ze Zjednoczeniem również, zresztą zostawili mi wolną rękę.

Podniósł się z fotela, tamci też wstali. Kiedy naczelnik ze swoim pechowym zastępcą opuścili gabinet, radca roześmiał się cicho.

– Wiesz, Kaziu, ja od początku o nim myślałem – rzekł do dyrektora, zapalając papierosa. – Tylko byłem ciekaw, co tamci powiedzą.

– Trzeba było mnie uprzedzić. Sam bym wysunął jego kandydaturę.

Radca zaprzeczył ruchem głowy. Miał sępią twarz, trochę pożółkłą, dolna warga szła w górę, a czubek nosa w dół, co robiło wrażenie, że się stykają. Niedbale strzepnął popiół na podłogę i odparł:

- Byłoby to niewskazane. Z różnych względów.
- Zdzierski przyglądał mu się chwilę w zadumie.
- Więc jaki ten Barański jest naprawdę?
- Taki, jakiego nam trzeba. Ja się znam na ludziach.
- Gniewczyce to niełatwy teren. Mam na myśli załogę.
- Jak to rozumiesz?
- Za mądra. Pytanie, czy Barański da sobie radę.
- O to bym się nie obawiał. Raczej, jeżeli już... – zawahał się.
- No?
- Że kiedyś on będzie za mądry.
- Wobec załogi? – zdziwił się dyrektor.
- Nie. Wobec nas.

Zdzierski roześmiał się, wzruszył ramionami. Zamknął biurko i szafę pancerną, w której przechowywał najważniejsze dokumenty, mimo iż część z nich powinna była znajdować się w tajnej kancelarii. Kiedy wychodzili z gabinetu, radca zauważył:

- Nie odpowiedziałeś na moje zastrzeżenie.
- Bo nie wymaga odpowiedzi. Jest bezsensowne.
- Tak sądzisz?

Dyrektor przystanął w progu, sekretariat był pusty od godziny. Popatrzył na radcę trochę z góry, był o głowę wyższy, i spytał:

- Znasz człowieka, który by mnie przechytrzył?
- Owszem, znam.
- Bzdura! Któż to jest?
- Ja.

Roześmieli się, ale oczy radcy pozostały chłodne. Był w nich wyraz ogromnej pewności siebie, czego Zdzierski nie zauważył. Ani w tej chwili, ani przedtem.

*

Sekretarka spóźniła się kilka minut, czego Zdzierski nie lubił i w zasadzie nie tolerował. Tłumaczenie, że znowu jakiś berliet zepsuł się po drodze, było banalne.

– Wymyśl coś ciekawszego – mruknął. W gruncie rzeczy był ze swoją sekretarką zaprzyjaźniony nie tylko służbowo, co osłabiało nieco jego autorytet naczelnego dyrektora FIREX-u.

– Kiedy naprawdę te cholerne autobusy... – zaczęła, ale machnął ręką niecierpliwie.

– Nudzisz. Wezwij do mnie Zdzisława Barańskiego. Pracuje w organizacyjnym. Jak przyjdzie, chcę z nim porozmawiać bez telefonów i interesantów.

– Zrobić kawy?

– Zrób.

– Koniak też podać? – Nie знаła Barańskiego, może był to ktoś, komu w gabinecie dyrektora koniaku się nie podaje, ot, taki tam zwyczajny urzędas. Ku jej zdziwieniu Zdzierski odparł, że owszem, może być.

- Ale nie francuski? – wołała się upewnić.
- Francuskie są dla gości – pouczył ją. – Ważnych.

W kilka minut później Zdzisław Barański, magister ekonomii, starszy referent, żonaty, bezdzietny, zajął krzesło po drugiej stronie dyrektorskiego biurka i trochę niespokojnie czekał wyjaśnienia, po co go tu wezwano. Jak dotąd nie miał zaszczytu pić kawy ani alkoholu w tym

gabinecie. Zdzierskiego znał właściwie tylko z twarzy i z dość rzadkich zebrań załogi FIREX-u. Sumienie urzędnicze miał czyste, nigdy nie wiadomo jednak, co szefom przyjdzie do głowy i czego się uczepią.

– Jak długo pan u nas pracuje? – spytał Zdzierski, przyglądając się człowiekowi siedzącemu przed nim i niepewnie mieszającemu kawę.

– Dwa lata i miesiąc, panie dyrektorze – odparł. Nieznacznie uniósł się przy tym na krześle, jakby odpowiadanie najwyższemu zwierzchnikowi wymagało pozycji stojącej.

– Gdzie pan przedtem pracował? Niechże pan siedzi!

– W Energopolu. Również w wydziale organizacyjnym.

– A jak pan się dostał do FIREX-u?

– Staralem się, panie dyrektorze. Tutaj lepsze warunki i... pan radca Waliński mi pomógł. Tam nie miałem szansy na awans, wszystkie wyższe stanowiska były zajęte. Nie wydawało mi się, żebym mógł... – zająknął się, umilkł. Jego okrągła, rumiana twarz miała wyraz z troskowania.

– Sądzi pan, że u nas jest taka szansa? – uśmiechnął się Zdzierski.

– Cóż, staram się, panie dyrektorze, dobrze pracować.

– Owszem, opinie o panu są pozytywne. Dlatego chcę panu dzisiaj zaproponować kierownictwo naszej filii w Gniewczycach. Co pan o tym myśli?

Barański poczerwieniał, a później zbladł. Na czole wystąpiły mu kropelki potu.

– Pan nie żartuje? – spytał naiwnie.

– Mówię zupełnie serio – odparł Zdzierski ubawiony. – Ale muszę pana uprzedzić, że to stanowisko wymagać będzie dużego wysiłku, po prostu ogromnej pracy twórczej. Zakład jest dość zaniedbany przez poprzedniego kierownika, który odszedł na emeryturę. Zastanawiam się więc, czy pan podoła.

– Na pewno, panie dyrektorze! Będę się bardzo starał. Tylko – zafrasował się – czy ja tam znajdę jakieś mieszkanie? Bo dojeżdżać się nie da, za daleko. I... ja jestem żonaty, nie chciałbym rozstawać się z żoną. Samochodu jeszcze nie mamy.

– Dostaniecie służbowe mieszkanie po dawnym kierowniku, on wyjechał z Gniewczyc. To są, jeżeli pamiętam, trzy pokoje z wygodami, w parterowym domu, może jest tam i ogród. Otrzyma pan uposażenie, z wszystkimi dodatkami – zerknął do notesu – dziesięć tysięcy sześćset. Na początek. Jak się pan wciągnie, podwyższymy do czternastu. Wszystkie sprawy administracyjne, przewóz mebli i tak dalej trzeba załatwić z naszym wydziałem. Tak. – Zamyślił się, a Barański patrzył na niego wzrokiem rozradowanego psa i czekał cierpliwie. – Do Gniewczyc pojedę z panem, powiedzmy, w piątek. Zna pan ten zakład?

– Nie, panie dyrektorze. Tylko ze słyszenia i sprawozdań. Ale orientuję się, co produkują, jakie plany i program rozwoju. Zdaje się, że w grę wchodzi również eksport?

– Wchodziłby. A raczej: musi wejść po uporządkowaniu zakładu. Przewiduję modernizację filii, zakup maszyn za granicą. Może licencji. Zna pan obce języki?

– Niemiecki, trochę rosyjski. Angielskiego nie.

– Angielski będzie panu potrzebny. Wstał, wyciągnął rękę do oszołomionego wciąż jeszcze starszego referenta, a in spe dyrektora zakładu. Uśmiechnął się i dodał: – Jutro proszę tu, na miejscu, zapoznać się z filią w Gniewczycach na ile się da. Resztę omówimy w trakcie wyjazdu. No, do zobaczenia!

*

Irena Barańska najpierw z radości rzuciła się mężowi na szyję, a zaraz potem wpadła w rozpacz.

– Przecież my nic nie mamy! – krzyknęła, rozglądając się po pokoju. – Te stare graty będziemy zabierać? Tę szafę po dziadkach? – Kopnęła mebel i syknęła z bólu. – Tę komodę z

odłamaną listwą, te fotele z wytartym pluszem? Jeżeli tam są trzy pokoje, to co wstawimy do dwóch?

– Trzeba będzie kupić nowe meble – mruknął z wahaniem. – Wezmę pożyczkę.

Trochę uspokojona, otworzyła szafę i zaczęła lamentować od nowa.

– A ubrania? Przecież ty nie masz nawet porządnego czarnego garnituru, bo ten od pogrzebów za krótki i rękawy przetarte. Nie masz futra, a widziałeś dyrektora bez futra?

– Widziałem. Latem.

– Nie żartuj! To są poważne sprawy. Musisz mieć kilka ubrań, może nawet frak. A ja? – Zajrzała w głąb szafy i załamała ręce. – Nie mam ani futra, ani uczciwego kostiumu, prawie żadnej biżuterii poza obrączką i pierścionkiem. Jak ja się pokażę tym ludziom w Gniewczycach?

Zdzisław nagle rozgniewał się.

– Moja droga, nie zwracaj mi głowy takimi duperelami. Akurat miałbym się zajmować twoją biżuterią, czy moim frakiem. Czegoś takiego nigdy na sobie nie miałem i jakoś żyję. Najważniejsze, żebym dał sobie radę z zakładem. Żebym się tam utrzymał. Parę lat chociaż.

Usiadła przy nim, westchnęła ciężko.

– Co oni produkują?

– Obróbka drewna. Płyty pilśniowe, sklejki, okleiny. Takie różne.

– Duży zakład?

– Średni. Dwa tysiące pracowników. Zdziarski chce, żebym przeprowadził modernizację, przywrócił eksport. Mamy kupić za granicą licencje na linie produkcyjne. Szykują mi się wyjazdy.

Poweselała. Przyszło jej na myśl, że oto czekają ich piękne, chociaż niełatwe dni. Dorobią się, może kupią samochód, przecież wszyscy dyrektorzy mają samochody. A ona sprawi sobie porządne futro, oczywiście nie to najdroższe, nie tchórze czy karakuly, ale, powiedzmy, elegancki kożuszek.

– Więc czego się martwisz? – Objęła go za szyję, przytuliła się. – Będzie nam dobrze. Nauczę cię angielskiego, przecież skończyłam kursy. Słuchaj, jutro święto. Pojedźmy do Gniewczyc, obejrzymy sobie nasze przyszłe mieszkanie!

Wyjechali z samego rana pekaesem. Był letni dzień świąteczny, pogoda w sam raz na wycieczkę. Barański nie chciał jeszcze pokazywać się wartownikom jako dyrektor zakładu, chociaż ciągnęło go do hal produkcyjnych i budynku administracji. Obeszli więc tylko dokoła rozległy teren, co zabrało im prawie godzinę, a potem wrócili do miasteczka. Na jednej z bocznych uliczek, w ogrodzie, stała parterowa willa. Tu mieli zamieszkać.

– Ciekawe, kto ma klucze – mruknął. Nacisnął klamkę furtki, była otwarta. Weszli do ogrodu.

– Ktoś jest w domu – zauważyła Irena. – Jakaś kobieta. Może sprząta.

– E, w święto?

Kobieta wyjrzała tymczasem z sieni, aby wytrzepać ściereczkę, i popatrzyła na stojących przed progiem. Wyraz twarzy miała niepewny.

– Państwo do kogo? – spytała. – Tutaj nikt nie mieszka.

– My tu niedługo będziemy mieszkać – powiedział Zdzisław z uśmiechem. – Jestem nowym kierownikiem zakładu FIREX-2. Nazywam się Barański.

– No, to proszę do środka. Pewnie chcą państwo obejrzyć pokoje.

Były cztery, nie trzy. I duża jasna kuchnia, łazienka z piecykiem gazowym – przez Gniewczyce przebiegał rurociąg – od tyłu taras. W piwnicy urządzono pralnię, na strychu suszarnię. Irena oglądała wszystko fachowym okiem przyszłej pani domu, rozradowana, ale znów niespokojna: czym zapełnią te obszerne pokoje, tę kuchnię, w której można by ustawić cały komplet mebli i jeszcze zostałoby sporo miejsca?

– Kiedy państwo się wprowadzą? – spytała kobieta, jak się okazało sprzątaczką z zakładu, specjalnie wynajęta do zrobienia porządków na przyjazd nowego dyrektora.

– Nie wiem jeszcze – odparł ostrożnie. – Trzeba urządzić mieszkanie, sprowadzić meble. Ale chyba wkrótce.

Następnego dnia Barański siedział obok dyrektora FIREX-u w służbowym samochodzie i z nerwowym niepokojem rozmyślał nad tym, co go czeka. Zdziarski sam prowadził wóz. Do Gniewczyc było ponad sześćdziesiąt kilometrów i na dziewiątą znaleźli się na miejscu. Dwóch dawnych zastępców nowego dyrektora, uprzedzonych telefonicznie, czekało przed budynkiem administracyjnym.

Barański nie znał żadnego z nich, co zwiększało jego niepokój. Pracowali w Gniewczycach od dawna, wyrosli z załogi i z pewnością świetnie orientowali się w zagadnieniach produkcji. Z całą pewnością też liczyli, że jeden z nich zostanie mianowany następcą dyrektora, który odszedł na emeryturę. Ten fakt nie mógł usposobić ich życzliwie do „nowego”.

Zdziarski jakby odgadł jego myśli, bo kiedy wysiedli z samochodu, życzliwie położył mu rękę na ramieniu i tak poprowadził do tamtych. Można było rozumieć ten gest jako wzięcie go pod kuratelę centrali. Dwaj zastępcy przyoblekli więc twarze w miłe uśmiechy i, choć ich brała cholera, powitali przybyłych niemal z radością. Jak zwykle w takich przypadkach podano im kawę i koniak w dyrektorskim gabinecie, gdzie Barański, nabrawszy śmiałości, rozglądał się już okiem przyszłego gospodarza.

Zwiedzanie zakładu trwało kilka godzin. Zdziarski stwierdził, że nowy kierownik filii nieźle orientuje się w zagadnieniach produkcyjnych, co go mile zaskoczyło. Barański fachowo określał różnego typu płyty wiórowe i paździerzowe, bezbłędnie odróżniał jesion od wiązu i buk od topoli, chociaż drewno było już obrobione i przycięte w deszczułki, obłogi i galanterię drzewną. Trochę się zastanowił nad maszynami do toczenia i szlifowania, co natychmiast wykorzystał zastępca do spraw technicznych. Kiedy jednak jego wyjaśnienia nabrały tonu ironicznej wyższości, Zdziarski z naciskiem zwrócił mu uwagę, iż dyrektor zakładu nie musi znać się na wszystkim, od tego ma zastępców, a jego obowiązkiem jest dobrze kierować całością. Tak upomniany inżynier Gawroński zmieszał się, umilkł i postanowił mieć się na baczności. Wsadził tu swego szpicla – pomyślał o Barańskim. Targnął nim strach, bo z różnych względów zależało mu na tej posadzie.

Drugi zastępca, magister ekonomii Grządek, rzadko się odzywał, natomiast bacznie obserwował wszystko to, co się przed jego oczami rozgrywało. Szybko rozszyfrował pozycję nowego zwierzchnika, dostrzegł przyjazny stosunek Zdziarskiego i wyciągnął właściwy wniosek, który zachował dla siebie. Od tego momentu zaczął odnosić się do Barańskiego z szacunkiem, wszelkie inne myśli upychając głęboko w pamięci. W odpowiedniej chwili mogły się przydać.

Późnym popołudniem, pożegnawszy zakład, obaj dyrektorzy wsiedli do samochodu. Zdziarski ruszył jednak nie w kierunku Warszawy, lecz skręcił na peryferie Gniewczyc, gdzie mieściła się służbowa willa. Miał przy sobie klucze, które wręczył Barańskiemu mówiąc:

– Gospodarzu, otwórz i wpuść!

Barański, zaaferowany i zmęczony nieustannym napięciem nerwów, długo nie mógł sobie poradzić z zamkiem. W końcu jednak weszli.

Zdziarski pospacerował po pustych pokojach, w których mocnym echem odbijały się jego kroki, a potem rzekł:

– Jednak cztery pokoje, nie trzy. Ładny lokal.

– Bardzo ładny – odparł Zdzisław cicho.

Dyrektor przyjrzał mu się uważnie.

– Nie jest pan zadowolony?

– Ależ tak! Tylko że nie mam co tu wstawić – roześmiał się z przymusem. – Mieszkaliśmy do tej pory w dużym co prawda, ale jednym pokoju. I meble mamy stare, brzydkie.

– To doprawdy żaden kłopot – rzekł Zdzierski, przysiadając na parapecie. – Zapomniał, pan, że przecież nasza filia, FIREX-3 w Kurowie, produkuje meble.

– Nie zapomniałem. Ale, panie dyrektorze, ja znam kurowskie komplety. Kosztują po kilkadziesiąt tysięcy. Część idzie przecież na eksport. To nie na moją kieszeń.

Zdzierski przyglądał mu się ubawiony.

– Widać, że nie był pan jeszcze nigdy na kierowniczym stanowisku. Człowieku, przecież ja nie każę panu płacić w cenach zbytu. Znajdą się odrzuty eksportowe, mamy trochę mebli dla... no, dla swoich ludzi, i dla osób wysoko postawionych. Liczymy wtedy poniżej cen kosztu. Do tych czterech pokoi – rozejrzał się dokoła – będzie pan potrzebował cztery komplety. Powiedzmy: sypialnia, stołowy, gabinet i rodzaj saloniku, zanim dorobicie się dziecka. Będzie to – zamyślił się na chwilę, liczył w pamięci – około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu tysięcy złotych. Całość.

– Panie dyrektorze, przecież tyle kosztuje jeden komplet!

– Oczywiście, dla kupujących w sklepie. Ale nie dla nas. Dam je panu, nazwijmy to: z przeceny.

Barański milczał oszołomiony. Kręciło mu się w głowie z nadmiaru wrażeń.

– Niech pan pamięta – ciągnął Zdzierski – że jako dyrektor największego zakładu w Gniewczycach będzie pan musiał przyjmować od czasu do czasu różnych miejscowych notabli. A także gości z centrali, no i ze Zjednoczenia. Takich ludzi nie może pan posadzić na starej kanapie przy stole z koślawą nogą. No, przesadzam. W każdym razie musicie wraz z żoną dostosować się do dyrektorskich obyczajów. Tego wymaga pański prestiż, reprezentuje pan FIREX-2.

– Rozumiem. Tylko że my nie mamy żadnych oszczędności – wyjąkał Barański, do reszty zgłębiony perspektywą licznych wizyt.

– Przecież nikt nie będzie od pana wymagał spłaty gotówką. Rozłoży się to na długie raty, po, przypuśćmy, dwa tysiące miesięcznie. Na tyle będzie pana stać.

– No, tak. Oczywiście. Ale czy ja mam prawo...

– Panie Zdzisławie! – przerwał mu Zdzierski. – Prawo jest dla ludzi. Musi pan mieć ułatwiony start. A zresztą nie ma o czym mówić. Chyba ma pan do mnie zaufanie?

– Ależ naturalnie! – wykrzyknął Barański. – Ja po prostu jeszcze nie orientuję się w tych sprawach. I dziękuję za wszystko. Gdybym kiedyś mógł się panu odwdziżyć...

Zdzierski machnął ręką i skierował się do wyjścia. Po drodze nie było już mowy o żadnej wdzięczności i można było sądzić, że temat ten jest dyrektorowi centrali FIREX niemiły, a co najmniej obojętny.

Barańscy przyjechali do Gniewczyc ostatniego czerwca, w poniedziałek. Ciężarówka przywiozła stare meble i cały ich dobytek, a dwaj pracownicy i kierowca wyładowali wszystko do jednego pokoju. Barański dostrzegł, że porozumiewają się między sobą uśmiezkami i pomrukują, mierząc ironicznym spojrzeniem skromne mienie nowego dyrektora. Może tak było, a może mu się zdawało. Przewóz rzeczy był opłacony w wydziale administracyjnym, dał jednak każdemu po stówie, aby nie obszczekali go za bardzo.

Ciężarówka odjechała. W godzinę później przed willą zatrzymał się wielki ośmiotonowy TIR. Wysiadł z niego mężczyzna w granatowym kombinezonie i z plikiem dokumentów w ręku wszedł do mieszkania. Rozejrzał się dookoła, uniósł brwi w górę i pokiwał głową.

– Czego pan chce? – spytał Barański szorstko. Nie potrzebował teraz obcych.

– Pan dyrektor Barański?

– Owszem, to ja. O co chodzi?

– Przywieźliśmy państwu meble.
Irena wyrzała z kuchni, gdzie ustawiała na półkach garnki.
– Jakie meble? – spytała ze zdziwieniem.
– Z Kurowa. Otrzymałem takie polecenie od dyrektora Zdzierskiego – uprzejmie wyjaśniał przybysz. Podał Zdzisławowi papiery. – Tu jest faktura, list przewozowy i zaświadczenie, że przywiozłem. Pan będzie łaskaw potwierdzić. Zaraz zaczniemy wyładowywać.
– Ale ja... ale myśmy w ogóle tych mebli nie widzieli! – wykrzyknęła Irena. – Co to jest?
– Cztery piękne Kurowskie komplety – uśmiechnął się konwojent. – Jadalnia w mahoniu, sypialnia na wzór francuski z białej brzozy, gabinet czarny gdański i różowy jesion do saloniku. A także wyposażenie kuchni, w trzech kolorach, takie teraz najmodniejsze.
– To znaczy, że jest pięć kompletów? – zaniepokoił się Barański. – O kuchni nie było przedtem mowy. – Chciał zapytać o cenę, ale w porę ugryzł się w język. Trudno – pomyślał. W razie czego zapożyczymy się. A wycofać się już nie można.
Rzeczywiście, nie sposób było odsyłać olbrzymią ciężarówkę, po dach wyładowaną pięknymi meblami. Ustawianie, choć sprawne i szybkie, zabrało jednak parę godzin. Irena, czerwona z emocji, potargana i spocona, wskazywała, gdzie umieścić każdy mebel. Miała twarz tak rozradowaną, że Zdzisław zrozumiał, iż choćby tylko ze względu na żonę musi przyjąć na siebie to ciężkie zadłużenie. Westchnął, ale zaraz przyszło mu na myśl, że Zdzierski wspominał przecież o reprezentowaniu zakładu, o dyrektorskich obowiązkach, o wizytach...
Tak czy owak, nowe meble stały już w pokojach i w kuchni. Mieszkanie natychmiast radykalnie zmieniło wygląd. Prawda, że nie było jeszcze dywanów ani firanek, ściany prosiły o obrazy, regał w gabinecie o książki. Ale te meble!
Wieczorem, po odjeździe ciężarówki, straszliwie zmęczeni usiedli w saloniku na kanapie, obitej jasnym brokatem, i popatrzyli sobie w oczy.
– Słuchaj, czy my pasujemy do tego wszystkiego? – spytał niepewnie. – My, zwyczajni ludzie, jacyś tam Barańscy z Sandomierza.
– Ja to nawet nie z samego Sandomierza, tylko z wioski obok – mruknęła, gładząc pieśczołtliwie lśniący materiał obicia.
– Nie wiem, czy potrafię być prawdziwym dyrektorem. Takim jak Zdzierski czy inni. A w ogóle to czegoś się boję.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI